

Wizyta u zwierząt w warszawskim zoo

W wiosenny dzień listopadowy poszłam odwiedzić zwierzęta w Ogrodzie Zoologicznym.

Dwie małpy, ubrane w niebieskie swetry, zabawiają się na trawniku rzucając w powietrze własnych pantofli — ten sielankowy widoczek powitał mnie na wstępie. Dalszy obraz był bardziej niepokojący — młody tygrys, (a może lampart?) prowadzony na łańcuszku, wraca ze spaceru do domu. Idzie elastycznie, mięśnie przelewają mu się pod skórą, wygięty grzbiet przebiega drżenie.

W olbrzymich klatkach kłębią się płowe cielska drapieżników, przegrywanych w powietrze ławic, płamistych panter.

Czarna pantera w niesmaczny sposób zgrywa się na divę kabaretową — przegina się, wylamuje, płaś. Jest płynna, a jednocześnie ociężała, tajemnicza, zmysłowa.

— Kabotynka — mruczy w brodzie stary lew, patrząc pogardliwie na te gierki. Jedno z jego drwających spojrzeń pantera przyłapała i naraz cała jej wystudiowana teatralność zniknęła. Jak jagodziwa, ordynarna przepukła rzuciła się na lwa z pyskiem.

— A to, a owo — charczała mu przez kratę, szczerząc zęby, cała zjeżona ze wściekłości.

Lew, stary wyga, który zęby zjadł na tego rodzaju aferach, nie drgnął nawet. Siedział niewzruszony naprzeciwko rozjątrzonego wampa i kpił sobie w żywe oczy.

Równie gwałtownym, jak pantera temperamentem odznacza się — kłoby pomyślał? — jeleni. Ten niebezpiecznie rogaty okaz — to typowy choleryk. Zbliżyłam się do niego łagodnie, z sercem i chlebem na dłoni, a to zwariowane zwierzę niespodziewanie wpadła w szal i łupie rogami w ogrodzenie. Odeszłam od niego rozgoryczona na cały ród sarnio-jeleni. Sytuację uratowała uroczą sarna, która prócz dwóch wad, łakomstwa i kokieteryj, posiadała same zalety, a przede wszystkim urodę wysokiej klasy.

PRZYGODA

Jeżeli chodzi o moje antypatie, jakie zrodziły się podczas tej wizyty w Zoo, muszę na wstępie, aby potem nie psuć sobie humoru — załatwić przykre porachunki ze stworzeniami, które kryją się za egzotyczne nazwy, a są, proszę mi wierzyć, zamaskowane mi gęmi. Dawałam jeść niedźwiedziom, jako dobrze, karmilam młode tygrysy, obezła się bez wypadku, jadł z mojej ręki olbrzymi słoń i nie mi się nie stało, a to bydlę... Przepraszam, ptaszek.

Daje więc łagodnemu „ptaszko-wi“ coś zjeść, nie podejrzewając żadnego podstępów, a on zamiast ocenić dar, łapie mnie chytrze za palec i ścisła w dziobie. Jak w żelaznych kleszczach. Ledwo palec wyrwałam. Bardzo ten postępek wzięłam za złe złośliwej gęsi — nie lubię takich niespodzianek. Gdyby mnie była ostrzegła — a, to co innego.

Przykry ten wypadek był właściwie jedynym zgrzytem w ciągu kilkugodzinnego pobytu w ogrodzie. Inne zwierzęta robiły honory domu z czarującym wdziękiem.

NIEDŹWIEDZIE

Niedźwiedzie, które kiedyś za dawnych dobrych czasów były białe, siedzą na sztucznych skalach, jak secesyjne przyciski na biurko. Jeden z nich z lubością robi nasiadówkę w lodowatej, brudnej wodzie. Zanurzony do pasa, moczy się, mrucząc oczy w ekstatycznym uniesieniu. Drugi, materjalista, poluje na łatwą zdobycz. W sposób naiwny kokietuje publiczność, o której wie, że ma do dyspozycji cały kubał śledzi. Wyciąga prosząc łapę, wspina się na skałę i zeszklawia wódł, staje nad brzegiem wody i czeka. Że niby już swoje zrobił i coś mu się za to należy.

Kupuję śliską rybę i rzucam ją. Śledź srebrnym błyskiem miął w powietrze, niedźwiedź powiódł za nim wzrokiem, pomyślał gwałtownie i romantycznie:

— Dla ciebie skoczyłbym w wodę.

I skoczył. Po chwili wynurzył się ze śledziem, zwisającym z pyska. Dał tym czynem dowód, że umie łowić ryby w mętnej wodzie, co rzuca niejaki cień na jego charakter. Nie badamy jednak zbyt surowo w sądach. Ale — z drugiej strony, — ostrożniej będzie, gdy poruczymy to niepewne indywiduum i udamy się do jego kuchni, niedźwiedzia brunatnego.

Ten łakomeczuch może człowieka zrujnować. Wyciąga łapę po swój ulubiony przysmak, surowe jajo i pakuje je całe do pyska, jedno-poruszenie szcęk i jajo pochłonięte razem ze skorupą. Po następnej porcji nie wyciąga już łapy, aby nie tracić czasu, tylko wprost otwiera pysk, umazany żółtkiem. Otwiera go jaknajszerszej, najuprzejmiej, aby zachęcić do rzucaenia nowego datku w celuście gardła. Orzechy miażdży jednym zamachem i nie połknąwszy ich, rozdziawia się znowu, aby się tylko nie spóźnić, aby nie przegapić żadnej okazji.

ŚLONIE

Łakomstwem różniują mu tyłko słonie. Ale im można to darować. Jaś i Kasia, uwięzieni na

całe życie w pomarszczonej, chropawatej skorupie swej skóry, muszą czasem zapłacić swe olbrzymie cielska. Są nienasycone. Pudło z jabłkami wypróżnia się, ręka mi miedle, a Jaś mruga sprytnymi oczkami i ruchem automatycznym rozwija i zwija trąbę, niosąc do pyska jabłko, których nawet nie raczy rozgryzać. Wymawiam mu to w sposób dosyć pobłażliwy, wówczas pełen najlepszych chęci, podnosi trąbę do góry i otwiera olbrzymi pysk, aby mi pokazać, że jednak gryzie. Grzecznie proszę go o przebaczenie, a on swą uprzejmość posuwa do tego stopnia, że podnosi do góry przednią łapę, na znak, że to on mnie przeprasza, że przykro mu, iż mogło powstać między nami jakiekolwiek nieporozumienie. Rozstajemy się w najlepszej zgodzie.

ZYRAFA

Teraz idziemy do żyrafy. Po drodze mijamy małe i zwinne srebrne lisy, które nerwowo biegają po swoich klatkach. W wyobraźni kobiet, które tedy przechodzą, zwierzęta te w sposób gwałtowny i niewytłumaczony padają nagle trupem i błyskawicznie zamieniają się w pelerynki i kołnierze. Stanowczo zwiedzanie tego miejsca powinno być zabronione — rodzą się tu krwiożercze instynkty.

Zyrafa wynajmuje w Zoo własny ogród z mieszkaniem, które dostosowane jest do warunków zewnętrznych lokatorki. Skosny dach w jednym miejscu wznosi się na znaczną wysokość — tam mieszka szyja, z drugiej strony spada wódł — tam mieszka żyrafa. Zastanawia mnie to, w jaki

sposób biedaczka wie, którą stronę ma wejść i co robi, gdy wstaje rano, wstanie w złym kierunku? Jak się obraca?

W obecnej chwili chodził po swej zagrodzie, przy każdym kroku pedantycznie składając i rozkładając drewniane nogi na świetnie naoliwionych zawiasach i nie dwuznacznie się nudził. Co parę chwil przystaje przy drzwiach do swego mieszkania, chce wejść, zmarszcza, nie bawi jej to monotonne łazenie dookoła, ci natrętni gapie, chętnie znalazłaby się sama, ale cóż, mieszkanie zamknięte. Gdyby nie była tak dobrze wychowana toby kłęta. Ale wrodzona wytworność na to nie pozwala. Więc rusza znowu na spacer dookoła ogrodzenia i tylko miele w płaskim, kosmatym pyszczku, umieszczonym gdzieś na wysokości drugiego pietra, wyraża ostateczne zniechęcenia:

— Co za piła! Co za piła!

Przy odrobinie dobrej woli można na tę jej nudę znaleźć jakieś lekarstwo. Naprzykład — czy panowie dozoryci nie mogliby tak od czasu do czasu rozegrać partyjkę szachów na jej pokratkowanej skórze? I dla nich byłaby przyjemność i nieszcześliwe zwierzętko zabawiłoby się coś niecoś. Trochę serca, panowie dozoryci!

MAŁPY

Małpy nie nudzą się nigdy. Rozwieszczane i ruchliwe kręcą się po swoich klatkach bez przerwy, oddając się znanym powszechnie „małpim figlom“. Ignoruję dosyć ostentacyjnie całą tę hałaśliwą zgraję i całą sympatię

Budowa gmachów państwowych w Warszawie

Przy budowie pałacu Bruhowskiego wykańczany jest obecnie korpus centralny. Mieszkanie dla p. ministra Spraw Zagranicznych, w pawilonie wznoszonym od strony ogrodu Saskiego, ukończone będzie w lecie; budowa sali reprezentacyjnej w tymże pawilonie jest na ukończeniu. W ciągu b. m. ukończony będzie kapitalny remont prawej oficyny gmachu Prezydium Rady Ministrów. Trwa remont wewnętrzny gmachu Sądu Okręgowego przy ul. Miodowej 15. W ciągu b. m. oddany będzie do użytku nowy wielki gmach audytoryjny Uniwersytetu Warszawskiego na Krak. Przedmieściu. Trwa budowa gmachu chemii Uniwersytetu przy ul. Wawelskiej w sąsiedztwie Instytutu im. Curie - Skłodowskiej. Roboty będą trwały dopóki pozwolą

na warunki atmosferyczne.

W dalszym ciągu w projekcie jest budowa gmachu dla sądów grodzkich przy ul. Ogrodowej i gmachu Ministerstwa Opieki Społecznej przy ul. Suche.

„Ponad Snieg“ Żeromskiego w Teatrze Wyobraźni

W dziesięciolecie śmierci wielkiego autora „Popiołów“ Teatr Wyobraźni rozgłosił warszawskiej nadejże 13.00. fragment pierwszego utworu scenicznego znakomitego pisarza — „Ponad Snieg“.

Drugą kolekcję audycji poświęconą Żeromskiemu w tym dniu będzie o godz. 14.00 odczytanie wspaniałego fragmentu z powieści „Ludzie bezdomni“: sceny z podróży robotnicy Judymowej z dziećmi do Żurychu nie znając zupełnie obcego języka.

ofiarowuję dwójgu skupionym i poważnym przedstawicielom małpiego rodu — Felci i Kokusiowi.

Nieufna Felcia wzrusza macierzyńskim uczuciem, z jakim tuli do łona lysego noworodka. Czyha na momenty, gdy współlokatorzy klatki znikają w drzwiach do wewnętrznej części „mieszkania“ i wówczas, pewna, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, spuszcza się zwinnie nadół i łapczywie porywa orzechy. Nie je ich odrazu, tylko przezornie robi zapasy, a gdy zaopatrzy się dostatecznie, zmyka spowrotem na najwyższe gałęzie sztucznego drzewa i siedzi tam, ponura, ważna, nadęta.

Z Kokusiem sprawa jest bardziej skomplikowana. Kokus mieszka w klatce ze swymi dwoma siostrami. Skutki poligamii odbiły się na Kokusiu w sposób fatalny. Bo dwie żony, to jednak jeszcze gorzej, niż jedna. Żony Kokusa, to jedne z piekła rodem. Obżarte, wypasione, znęcają się nad swym towarzyszem w sposób bezlitosny. Poniewierają nim, nie dopuszczają do jedzenia. Takie postępowanie złało charakter Kokusia do szczeni — jest wciąż przerażony, nie walczy już, ustępuje bez sprzeciwu, stracił honor i poczucie własnej godności. Chce mu dać orzecha, ale Kokus nawet nie próbuje go wziąć, melancholijnie patrzy na jedną z żon, która wyrzuca mu go z ręki, rzucając Koku siostrze jakieś jadowite słowa.

Z oburzeniem patrzymy na to postępowanie wstrętnych bab i postanawiamy. Kokusia jednak trochę odkarmić. Zwabiam więc żony w jeden kąt klatki i tam hojnie częstuję je orzechami, mój towarzysz, w którym zagrała męska solidarność, poszeptal coś z Kokusiem w drugim, odległym kącie i obaj zniknęli. Za chwilę znalazłam ich wewnątrz budynku. Protektor Kokusia trzymał w ręce pustą torbę z orzechów, Kokus zadowolony i napełniał się, siedział na dole klatki, trzymając się prętów obiema rękami i mrucząc z zadowolenia. Naraz, w prośtokacie drzwi, prowadzących do klatki zewnętrznej, ukazała się głowa jednej z „żon“. Chytry bab-szył wywyszył, zdaje się, jakiś podstęp i przyleciał z awanturą. Kokus drgnął:

— Te małpy żyć mi nie dają — poskarżył się łzawem spojrzeniem. I pokorny, zmalą, skurczony usunął się w najciemniejszy kąt klatki.

PAPUGI

Przykro dotknięci temi objawami meskiego upodlenia, posłaliśmy do papug.

Wrzaskliwe ptaki postroiły się przesadnie. Te kokoty, jaskrawo ubrane, umalowane bez umiaru, rozkrzyżowane, nie są towarzyszem najsympatyczniejszym. Jest tu tylko jedna dama — cała biała, z cytrynowym czubkiem, spokojna, godna, dystygnowana. Nie krzyczy niepotrzebnie, tylko z apetytem zjada ziarenka palonej kawy. Są to ostatnie nasze zapasy.

W pewnej chwili słyszę, jak jakiś dźwięczny głos kobiecy wabi mego towarzysza:

— Chodź pan, chodź pan, chodź, chodź.

Obracam się zdziwiona, a moja rywalka przedstawia mi się melodyjnie:

— Kakadu — Kakadu.

Oczywiście darowuję kokieteryj zielonej papużce. Jej towarzyszka chce nas zabawić i gardłowym głosem śpiewa krótki motyw jakiejś piosenki. Mało jej jeszcze triumfów śpiewaczych — ostro i czysto wyciąga cieniutką koloraturę. Widzi, jak się tem bawimy i uprzejmie powtarza swoje sztuki.

Niedaleko papug, w skrzynkach, oświetlonych lampami elektrycznymi, zwinęte w potworne kłęby, śpią nieruchome węże.

LZY KROKODYLA

Stanełam obok krokodyla, który obojętny i martwy leży w wodzie. Naraz, jakby tknięty przecuciem, odwrócił głowę i spojrzał na moje ręce. Jego wzrok wyrażał wyrzut. Zrozumiałam — przedk schowałam torebkę za siebie. Ale już było zapóźno.

— Poznaję — mój brat! — mówił jego oczy, w których perlili się łzy. Zażenowana tym widocznym bólem, oddalałam się szybko.

Wizyta u ostrowłosych peccari miała podobny przebieg. Łakoma świnka przybiegła na wołanie i chciała wziąć przysmak z mojej ręki, naraz odwróciła się, zaszczoła — rozdziawiając i odbiegła grzęznąc po kostki w błocie. Tak, przynajmniej, popielniłam „nietakt“, podsuwając jej pod oczy rekawiczkę peccari, no, ale znowu ta wrażliwość wydaje mi się przesadna...

Na wszelki wypadek, przechodząc koło klatki z lisami, starałam się iść jaknajszyciej, aby mój kołnier nie wywołał znowu jakiejś awantury. Ostatecznie lisy mogły przyjść do przekonania, że noszę na szyi doczesną powłokę jakiegos ich krewniaka. I znowu byłoby dasy, pretensje, żale, wymówki. A nie chciałam pozostać tutaj po sobie złego wrażenia.

Stefania Szurlejówna.

Z radja

Tępa piła i inne audycje

Z okazji święta niepodległości, dało Polskie Radio zbiorową audycję wszystkich rozgłośni pod tytułem „Raport pracy“. Miał to być wielki przegląd z całej Polski, „opowieść o tysiącach rąk, głów i piór, utrzymujących w ruchu tryby potężnej maszyny państwowej“, miała to być nastrojowa synteza, dostojnie wieńcząca dzień narodowego święta. Miała to być audycja, szerząca otuchę, radość, zachętę...

A była — tępa piła, rozciągnięta na przestrzeni pełnych 100 minut, której nieposob było słuchać, netylko bez niesmaku, ale nawet z zajęciem, a niemal niepodobieństwem było wytrzymać przez cały czas jej trwania. P. Budajński znany zaszczytnie z dośkonałego reżyserowania Lwowskiej wesołej fali, autor udanych skeczów i miłych piosenek, podjął się opracowania scenariusza i bardzo wiele włożył weń trudu. No cóż? Szkoda było tej pracy, która się całkowicie nie udała — mimo najlepszych niewątpliwie intencji autora — a nie udało się spowodować nieskoordynowania poszczególnych części składowych tego słuchowiska; no i nieszczerzej fałszywej nuty jakiegos kołturnego pozerstwa, które wy-

bitnie nad całością dominowało.

Na czem polegała główna wada tej imprezy? Przedewszystkiem na tem, że uwielokrotniono to, co ostatecznie w małej 10-minutowej dozie można przełknąć, ale co siedmiokrotnie wedle jednego i tegosamemu schematu powtórzone, staje się etanowczo niestrawne. A schemat był taki, że z jednej strony mieliśmy niemal że jakieś misterja (jak z Wilna i Poznania), albo naodwrot prawie że rewję (jak ze Lwowa — to było jeszcze najlepsze), a z drugiej w każdej takiej oprawie tkwiło coś w rodzaju drukowanego prospektu reklamowego, wychwalającego daną dzielnicę z przytoczeniem cyfry statystycznych z encyklopedji, no i z wielkim tam-tamem górnych a „mocnych“ frazesów. Ani to nie dawało żadnej obrazowości, ani nie ciągnęło, ani nawet nie zaciekawiało. I dopiero, gdy przyszła kolej na Kraków, powiła jakaś nuta sensowniejsza i zatarło się trochę poprzednie przykre wrażenie — niestety niecałkiem, bo jeszcze na koniec przyszedł „apel“ wszystkich rozgłośni, rozwleczonego reżysera, sztucznie napuszony. Królowała zaś nad wszystkim poza, poza — i

jeszcze raz poza.

Kiedyż to wreszcie ludzie radja zrozumieją tę elementarną prawdę, że machina, którą operują, jest stworzeniem niesłychanie zdradliwym i zjadliwym, że jest krzywym zwierciadłem, które żadnej sztuczności ani kabotyństwa nie przepuści, ale każdą rzecz wyolbrzymi? Kiedy się nauczą tego, że... rozsądniej jest nie ośmieszać się.

A rzecz jest przecież bardzo prosta, wynikająca z samej natury radjofonji. Kiedy jesteśmy na jakimś obchodzie, siedzimy w teatrze itp., to choćby nas indywiduale raziło i wytrącało z nastroju to i tamto, jednakże działa na nas równocześnie fluid masowej sugestji, idący z zebra-masowej razem tłum ludzkiego, działający na nas efekty wzrokowe — możemy się zięć w duchu na to i tamto grafomanię, ale równocześnie rozbraja nas choćby częściowo fakt, że się nim inni... wzruszają. Przy gro-sniku zaś, choćbyśmy byli sami i żadnym nie ulegali dystrakcjom, występujemy jako par excellence indywiduale, wolne od wszelkich sugestji i nastrojów płynących z otoczenia, sami własną wyobraźnią mamy sobie stworzyć wizję, własną niezależną myślą i refleksją chwytając i odważać każde wrażenie. Gotowi poddać się im bez reszty, o ile te wrażenia będą silne, pełne artystyzmu, wzruszające — jesteśmy tem czuła i wszelki fałsz, blichtr i szych, im

bardziej się skupiliśmy. I biada, jeśli ktoś przechodzi do nas z tandetą, przypuszczając naiwnie, że się damy złapać na nastroj...

„Raport pracy“ był autyentą najelementarniejszych zasad radjofonji: obrazowości i sugestywności. Parę umiejętnie dobranych rodzajowych scenek albo choćby parę tych pięćminutowek, które się dawniej nazywały „Jak Polska pracuje“, a obecnie noszą odpowiedniejszą nazwę „obrazków z Polski współczesnej“, lepijby spełniło swoje zadanie, niż ta wielka machina, nadęta a pusta.

A swoją drogą i strona techniczna tej audycji była fatalna. Coś tam ciągle szemrało i stukotało w przewodach telefonicznych, a gdy przyszła kolej na Katowice, to głos naprzemian — raz zmięrał, to znowu wybuchał, nagle zasilony wzmacniaczem. Już od dłuższego czasu transmisje radjowe były nieraz kiepsko słyszalne — z zupełnie niewiadomych powodów. W poniedziałek doszło to do formalnego kryzysu i dopiero od tego przełomowego punktu słyszalność audycji w ostatnich dniach jest spowrotem dobra. Coś tam poprawili...

Trzeba by jednak więcej uwagi i w sposób bardziej stały poświęcić należytemu funkcjonowaniu techniki transmisyjnej. Słuchacze bowiem denerwują się, badając na wszystkie strony swoje aparaty, próbując doszukać

się ich błędów — tymczasem, jak to wykazał omawiany wypadek, wina leży po stronie centrali.

Nadane ze Lwowa słuchowisko prof. Piniego „obiad Brodzińskiego“ przypominało mi czas gimnazjalne, gdy tę historię czytał w „wypisach“ Próchnickiego, przeznaczonych do nauki języka polskiego. Szkoda, że autor słuchowiska ograniczył się do zainscenizowania opowieści, w której tekście dużo nas jednak rzeczy razi. Czyż można wierzyć, że „bez reszty“, że w roku 1833, mówiąc o poczci, miało się na myśli jedynie Brodzińskiego i Karpieskiego, gdy przecież znany był już chyba zarówno Mickiewicz jak i Słowacki — choćby nawet w Piotrkowie?...

Ostatnia produkcja Kukułki wileńskiej, parodiująca kongres historyków, miała zupełnie fatalny akompaniament muzyczny. W tekście było parę akcentów dowcipniejszych, naogół jednak nie były to „automaty“ zbyt udane. Zato prawdziwym pokazem automatów wyścigowych był w następującym po tej audycji koncercie z Warszawy występ p. Loli Strassberg, która Tarantellę Liszta potraktowała jako teren do postawienia rekordu szybkości. A przecież audycja etudu Czernego przed paru miesiącami w wykonaniu tejże pianistki, była bardzo interesująca. Ale tam popis techniczny był na swoim miejscu. W ostatni piątek po raz pierw-

szy radjowy koncert symfoniczny konkurował z równoczesnym koncertem w Filharmonji. Wiedocześnie więc wzajemne stosunki dalej się pogarszają. Jak dotąd jednak, po porównaniu szeregu koncertów z prowincji i z Warszawy, nie odnosim zbyt mocnego wrażenia co do nowej orkiestry Polskiego Radja. Może brak odpowiedniej sali, może nie taki jakby należało gatunek instrumentów, a może niedostateczne jeszcze zgranie zespołu — dośże koncerty z prowincji wywołują lepsze wrażenie od warszawskich. Najpiękniejszą audycją muzyczną był zeszłej niedzieli jubileuszowy koncert krakowski go chóru akademickiego.

P. Korabiewicz dobrzeby zrobił, gdyby swoje interesujące opowieści o przygodach kajakowych dał komuś innemu do czytania. Ale bywa czasem także recytacja zanadto „żywa“: tak było w poprzednią sobotę z korespondencją paryską p. Korab-Kucharskiego o „Przełomowym dniu“, którą odczytano ze zgola przesadną frywolnością. Muszę zresztą stwierdzić, że wśród dziennikarzy występujących przed mikrofonem nie wszyscy przemawiają w sposób radjofoniczny. Do występów dodatnich zaliczyć wypada w ostatnim tygodniu pp. Czekalskiego i Otmar, a przede wszystkim Fausta, którego repertaż abisyjskie są coraz bardziej zajmujące.

Marjan Grzegorzczak.